



ZAMKNIJ

TE TAJEMNICE

WSZYSTKIE

NIE MOGĄ OPUŚCIĆ BUDYNKU

DRZWI

**RILEY
SAGER**



**ZAMKNIJ
WSZYSTKIE
DRZWI**

R I L E Y S A G E R

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Lock Every Door

Redaktorki prowadzące: Ewelina Kapelewska, Ewa Pustelnik

Wydawczynie: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Martyna Tondera-Łepkowska

Projekt okładki: Ewa Popławska

Ilustracja na okładce: © ostap25 / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2019 by Todd Ritter

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Ośliżło, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-67137-02-7

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



TERAZ

Światło przecina mrok, wrywając mnie z niebytu.

Moje prawe oko – ktoś naciska, żeby je rozewrzeć. Palce w lateksowych rękawiczkach rozchylają powieki, szarpiąc, jakby to była niesforna roleta.

Znowu światło. Ostre. Boleśnie jasne. Latarka diagnostyczna wycelowana w moją źrenicę.

To samo z lewym okiem. Nacisk. Rozchylenie. Światło.

Palce puszczają powieki i znów pogrążam się w ciemnościach. Ktoś mówi. Mężczyzna o łagodnym głosie.

– Słyszysz mnie pani?

Otwieram usta i palący ból przeszywa mi szczękę. Plus kilka bolesnych piknięć w szyi i policzku.

– Tak.

Mój głos chrypi. Gardło mam spieczone. Usta też, nie licząc jednej śliskiej plamki ciepłej wilgoci o metalicznym posmaku.

– Krwawie?

– Tak – odpowiada ten sam głos co poprzednio. – Tylko trochę. Mogło być gorzej.

– Znacznie gorzej – dodaje drugi głos.

– Gdzie ja jestem?

Pierwszy głos odpowiada:

– W szpitalu, skarbie. Zabieramy panią na parę badań. Sprawdzimy, jak bardzo jest pani poobijana.

Dociera do mnie, że jestem w ruchu. Słyszę szum kółek na płytkach i czuję chybotanie szpitalnego wózka, na którym – właśnie to sobie uświadamiam – leżę na wznak. Do tej chwili zdawało mi się, że się unoszę. Próbuję się poruszyć, ale nie mogę. Ręce i nogi mam przypięte. Coś oplata mi szyję, utrzymując głowę w bezruchu.

Są przy mnie jacyś ludzie. Z tego, co wiem, troje. Tamte dwa głosy i ktoś jeszcze, kto popycha wózek. Ciepły, posapujący oddech owiewa mi płatek ucha.

– Zobaczmy, ile pani pamięta. – Znowu pierwszy głos. Największa gaduła tego tria. – Da pani radę odpowiedzieć na parę pytań?

– Tak.

– Jak się pani nazywa?

– Jules. – Urywam, zirytowana tą ciepłą wilgocią na moich ustach. Próbuję ją zlizać, wysuwając język. – Jules Larsen.

– Cześć, Jules – mówi mężczyzna. – Jestem Bernard.

Chcę odpowiedzieć „cześć”, ale szczeka wciąż boli.

Tak jak cała lewa strona ciała od kolana do barku.

I głowa.

Ból pojawił się i wręcz eksplodował w kilka sekund. A może był przez cały czas, ale dopiero teraz moje ciało jest w stanie go znieść.

– Ile masz lat, Jules? – pyta Bernard.

– Dwadzieścia pięć. – Milknę, porażona nowym wybuchem bólu. – Co mi się stało?

– Samochód w ciebie uderzył, skarbie. Albo ty uderzyłaś w samochód. Na razie szczegóły są troszkę niejasne.

W tej sprawie nie mogę pomóc. Dla mnie to zupełne zaskoczenie. Niczego nie pamiętam.

– Kiedy?

– Parę minut temu.

– Gdzie?

– Przed Bartholomew.

Otwieram szeroko oczy, tym razem samodzielnie.

Mrużę powieki przed ostrym blaskiem światełek śmigających nad moją głową, gdy wózek szpitalny pędzi korytarem. Bernard dotrzymuje mi kroku. Ma ciemną skórę, jasny fartuch, brązowe oczy. Są życzliwe, dlatego wpijam się w nie błagalnym spojrzeniem.

– Proszę – szepczę – nie kaźcie mi tam wracać.

SZEŚĆ
DNI
WCZEŚNIEJ

1

Winda przypomina klatkę dla ptaków. Taką wysoką, ozdobną – z cienkich, połączonych prętów. Wchodząc do środka, wręcz myślę o ptakach.

Egzotycznych, barwnych, przepięknych.

Ucieleśniających wszystko, czym nie jestem.

Za to kobieta stojąca obok mnie z pewnością spełnia wszelkie wymogi – w niebieskim kostiumie Chanel, z blond fryzurą i perfekcyjnie wypiełgnowanymi dłońmi obwieszonymi kilkoma pierścionkami. Jest chyba po pięćdziesiątce. Może starsza. Twarz ma ściągniętą i błyszczącą od botoksu. Jej głos tryska radością niczym szampan bąbelkami. Nawet nazywa się elegancko – Leslie Evelyn.

Ponieważ będzie to właściwie rozmowa w sprawie pracy, ja też włożyłam kostium.

Czarny.

Nie Chanel.

Buty mam z dyskontu. Brązowe włosy do ramion są trochę potargane. Normalnie poszłabym do fryzjera, żeby je podciąć, ale w tej chwili nawet taki wydatek przekracza moje możliwości.

Kiwam głową z udawanym zainteresowaniem, gdy Leslie Evelyn mówi:

– Ta winda jest oczywiście oryginalna. Tak jak główna klatka schodowa. W holu niewiele się zmieniło od otwarcia tego apartamentowca w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. To właśnie jest tak wspaniałe w tych starszych budynkach: zbudowano je, by trwały.

Najwyraźniej także po to, by zmuszać ludzi do naruszania osobistej przestrzeni innych. Leslie i ja ocieramy się ramionami w tej zaskakująco małej kabinie. Jednak braki w rozmiarach winda nadrabia stylem. Na podłodze leży czerwona wykładzina, a sufit pokryto płatkowym złotem. Z trzech stron ścianki są wyłożone dębina do wysokości pasa, a wyżej zastępuje je seria wąskich okienek.

Kabina windy ma podwójne drzwi – te z prętów cienkich jak drut zamykają się same, a te w postaci kraty Leslie zasuwają, po czym wciska guzik najwyższego piętra. I ruszamy, powoli, lecz pewnie, w górę jednego z najbardziej legendarnych budynków Manhattanu.

Gdybym wiedziała, że mieszkanie mieści się pod tym adresem, nigdy nie odpowiedziałabym na to ogłoszenie. Uznałabym to za stratę czasu. Nie jestem Leslie Evelyn, która nosi karmelową dyplomatkę i czuje się swobodnie w miejscu takim jak to. Jestem Jules Larsen, wytwór górniczego miasta w Pensylwanii, z niespełną pięciuset dolarami na rachunku bieżącym.

Nie pasuje do tego miejsca.

Ale w ogłoszeniu nie było żadnego adresu. Tylko informacja, że poszukuje się osoby do opieki nad mieszkaniem, i numer telefonu dla zainteresowanych. Więc zadzwoniłam. Odebrała Leslie Evelyn, która wyznaczyła mi czas i miejsce spotkania przy ulicy Siedemdziesiątej na Upper West Side.

Wciąż jednak nie wiedziałam, w co się pakuje, dopóki nie stanęłam przed tym budynkiem i trzy razy nie sprawdziłam adresu, żeby się upewnić, że dobrze trafiłam.

Bartholomew.

Zaraz za Dakotą i dwiema wieżami San Remo należy do najbardziej rozpoznawalnych apartamentowców Manhattanu. Po części dlatego, że jest tak wąski. W porównaniu z tymi innymi legendarnymi nowojorskimi nieruchomościami, Bartholomew to zaledwie kruszyna – kamienny odłamek wznoszący się na wysokość trzynastu pięter nad Central Park West. W sąsiedztwie gigantów Bartholomew wyróżnia się tym, że stanowi ich przeciwieństwo. Jest mały, misterny i zapada w pamięć.

Jednak główną przyczyną sławy tego budynku są jego gargulce. W klasycznym stylu, ze skrzydłami nietoperza i diabelskimi rogami. Te kamienne bestie są wszędzie, począwszy od pary czającej się nad łukowymi drzwiami wejściowymi, a kończąc na tych, które przycupnęły na narożnikach spadzistego dachu. Inne zajmują fasadę budynku, rozmieszczone w krótkich rzędach na każdym piętrze. Siedzą na marmurowych konsolach, wznosząc łapy ku gzymsom, jakby to one podtrzymywały Bartholomew. Nadają budynkowi wygląd gotycki, wręcz katedralny, co zainspirowało jego religijną ksywkę – Święty Bartek.

Na przestrzeni lat Bartholomew ze swoimi gargulcami uświetnił tysiące fotografii. Widywałam go na pocztówkach, w reklamach, w tle fotograficznych sesji modowych. Pojawiał się w filmach. I w telewizji. I na okładce bestsellerowej powieści opublikowanej w latach osiemdziesiątych pod tytułem *Serce marzycielki*, z której dowiedziałam się o jego

istnieniu. Jane miała tę książkę i często czytała mi ją na głos, kiedy leżałam wygodnie wyciągnięta na jej łóżku zamiast na swoim.

To fantazyjna opowieść o dwudziestoletniej sierocie imieniem Ginny. Dzięki zrządzeniu losu i szczodrości babki, której nie zna, dziewczyna zamieszkuje w Bartholomew. Zwiedza swoją nową, ekskluzywną okolicę w coraz to wytworniejszych sukienkach koktajlowych i kręci z kilkoma fitygantami naraz. To szmira, jasne, ale przeurocza. Taka, pod wpływem której młoda dziewczyna zaczyna marzyć o znalezieniu romantycznej miłości na tłocznych ulicach Manhattanu.

Jane czytała, a ja wpatrywałam się w okładkę z widokiem na Bartholomew po drugiej stronie ulicy. Tam, gdzie dorastałyśmy, nie było takich budynków. Tylko szeregowce i sklepy z witrynami usmolonymi sadzą, których posępną monotonię przełamywały tu i ówdzie szkoła albo kościół. Nigdy nie byłyśmy na Manhattanie, ale zawsze nas intrygował. Podobnie jak myśl o życiu w miejscu takim jak Bartholomew, odległym o lata świetlne od schludnego bliźniaka, w którym mieszkaliśmy z rodzicami.

– Pewnego dnia... – mawiała często Jane między kolejnymi rozdziałami. – Pewnego dnia tam zamieszkam.

– A ja będę cię odwiedzać – wtrącałam zawsze.

Wtedy Jane głąskała mnie po włosach.

– Odwiedzać? Będziesz tam mieszkać ze mną, mała Julie.

Żadna z tych dziecięcych fantazji się nie spełniła, rzecz jasna. One nigdy się nie spełniają. Chyba że takim jak Leslie Evelyn, kto wie. Ale nie takim jak Jane. A już na pewno nie takim jak ja. Przejażdżka tą windą to wszystko, co dostanę.

Szyb jest wciśnięty w zakole klatki schodowej, która wije się w górę pośrodku budynku. Widzę ją przez okna suna-cej ku górze kabiny. Między kolejnymi piętrami znajduje się dziesięć schodów, podest i jeszcze dziesięć schodów.

Na jednym z podestów jakiś starszy mężczyzna oddycha chrapliwie, schodząc na dół z pomocą wyglądającej na znużoną kobiety w fioletowym fartuchu medycznym. Ona czeka cierpliwie, przytrzymując ramię pacjenta, gdy ten przystaje, by złapać oddech. Choć udają, że nie zwracają uwagi na mijającą ich windę, widzę, że zerkają w naszą stronę, nim wjeżdżamy na następne piętro i znikają nam z oczu.

– Lokale mieszkalne znajdują się na jedenastu kondygnacjach, poczynając od drugiej – wyjaśnia Leslie. – Na parterze mieszczą się biura i pomieszczenia tylko dla personelu, plus nasz dział konserwacji. Schowki są w piwnicy. Na każdym piętrze są cztery mieszkania. Dwa z przodu. Dwa z tyłu.

Mijamy kolejne piętro, winda sunie powoli, lecz miarowo. Na tej kondygnacji jakaś kobieta w wieku Leslie czeka, żeby zjechać na dół. Ubrana w legginsy, uggi i okazały biały sweter, trzyma na nabijanej ćwiekami smyczy niesamowicie małego pieska. Pozdrawia Leslie uprzejmym ruchem dłoni, wpatrując się we mnie zza ogromnych okularów przeciwsłonecznych. W tej krótkiej chwili, gdy znajdujemy się twarzą w twarz, nagle ją rozpoznaję. To aktorka. A przynajmniej kiedyś nią była. Dziesięć lat temu widziałam ją w operze mydlanej, którą oglądałam z matką podczas letnich wakacji.

– Czy to...

Leslie powstrzymuje mnie, unosząc rękę.

– Nigdy nie rozmawiamy o lokatorach. To jedna z niepisanych zasad. Bartholomew szczyli się dyskrecją. Ludzie, którzy tu mieszkają, chcą czuć się komfortowo.

– Ale mieszkają tu sławy?

– Niezupełnie – odpowiada Leslie. – Co nam odpowiada. Ostatnie, czego chcemy, to czatujący pod drzwiami paparazzi. Albo, Boże uchroni, coś takiego, co miało miejsce w Dakocie. Nasi lokatorzy nie obnoszą się ze swoją zamożnością. Cenią sobie prywatność. Wielu kupuje mieszkania poprzez fikcyjne firmy, żeby szczegóły transakcji nie trafiły do rejestru publicznego.

Winda zatrzymuje się ze stukotem u szczytu schodów i Leslie obwieszcza:

– Jesteśmy na miejscu. Dwunaste piętro.

Szarpnięciem otwiera kratę i wychodzi. Jej obcasy stukają o podłogę z biało-czarnych płytek cegiełek.

Na bordowych ścianach korytarza, w regularnych odstępach, wiszą kinkiety. Mijamy dwoje nieoznaczonych drzwi, po czym korytarz kończy się ślepo szeroką ścianą, w której znajduje się jeszcze dwoje drzwi. W przeciwieństwie do innych te są oznaczone.

12A i 12B.

– Myślałam, że na każdym piętrze są cztery mieszkania – mówię.

– Zgadza się – odpowiada Leslie. – Oprócz tego. Dwunaste jest wyjątkowe.

Oglądam się na nieoznaczone drzwi za naszymi plecami.

– Więc co jest tam?

– Schowki. Wejście na dach. Nic nadzwyczajnego. – Sięga do swojej teczki dyplomatki i wyjmuje komplet kluczy,

którymi odmyka 12A. – Za to tu jest coś naprawdę nadzwyczajnego.

Drzwi się otwierają, a Leslie odsuwa się na bok, odstawiając mały, gustowny przedpokój. Jest w nim wieszak, poślaczane lustro i stolik, na którym stoją lampka, wazon i miseczka na klucze. Moje spojrzenie biegnie dalej, w głąb mieszkania, do okna dokładnie naprzeciwko drzwi. Za nim rozpościera się jeden z najbardziej oszałamiających widoków, jakie kiedykolwiek oglądałam.

Central Park.

Późna jesień.

Bursztynowe promienie słońca padające z ukosa na złocisto-pomarańczowe liście.

A patrzę na to wszystko z lotu ptaka, z wysokości czterdziestu pięciu metrów.

Okno z tą panoramą rozciąga się od podłogi do sufitu, a znajduje się w salonie na końcu korytarza. Kręci mi się w głowie, kiedy na uginających się nogach podchodzę tak blisko szyby, że prawie dotykam jej nosem. Na wprost widać jezioro i zgrabny łuk Bow Bridge. Za nim, w oddali, prześwituje taras Bethesda i restauracja Loeb Boathouse. Na prawo ciągnie się Wielka Łąka, której zielona murawa upstrzona jest ludźmi wygrzewającymi się w jesiennym słońcu. Po lewej wznosi się zamek Belwederski, a w tle majestatyczne Metropolitanne Muzeum Sztuki z szarego kamienia.

Chłonę ten widok z lekko zapartym tchem.

Widziałam go wcześniej oczyma duszy podczas lektury *Serca marzycielki*. Właśnie taka panorama rozciągała się z okna mieszkania Ginny, bohaterki tej książki. Łąka na

południu. Zamek na północy. Bow Bridge w samym środku. Spełnienie wszystkich jej najśmielszych marzeń.

Przez krótką chwilę to jest mój świat. Mimo całego tego piekła, przez które przeszłam. A może właśnie dlatego. Mam wrażenie, że znalazłam się tu za sprawą interwencji losu, choć znowu uderza mnie ta nieodparta myśl – nie pasuję do tego miejsca.

– Przepraszam – mówię, z trudem odrywając się od okna. – Zdaje się, że zaszło wielkie nieporozumienie.

Leslie Evelyn i ja mogłyśmy się nie dogadać w wielu kwestiach. Może w ogłoszeniu na craigslist podano zły numer. A może to ja wystukałam niewłaściwe cyfry. Kiedy Leslie odebrała, rozmawiałyśmy tak krótko, że na pewno coś nam się pokreśliło. Myślałam, że szuka kogoś, kto zaopiekuje się mieszkaniem. Ona myślała, że szukam mieszkania. No i proszę, teraz Leslie przechyla głowę i patrzy na mnie zdezorientowanym wzrokiem, a ja podziwiam widok, który, spojrzmy prawdzie w oczy, nigdy nie był przeznaczony dla kogoś takiego jak ja.

– Nie podoba ci się mieszkanie? – pyta Leslie.

– Uwielbiam je. – Z rozkoszą rzucam jeszcze jedno spojrzenie za okno. Nie mogę się oprzeć. – Ale ja nie szukam mieszkania. To znaczy szukam, ale choćbym odkładała każdego centa aż do setnych urodzin, i tak nie byłoby mnie stać na coś takiego.

– To mieszkanie nie jest na sprzedaż – odpowiada Leslie. – Po prostu ktoś musi w nim mieszkać przez najbliższe trzy miesiące.

– Niemożliwe, żeby ktoś chciał mi płacić za to, że będę tu mieszkać. Choćby tylko przez trzy miesiące.

– I tu się mylisz. Właśnie tego chcemy.

Leslie wskazuje mi kanapę na środku pokoju. Obita tapicerką z karmazynowego aksamitu, wygląda na droższą niż mój pierwszy samochód. Siadam ostrożnie, bojąc się, że jednym nieuważnym ruchem zniszczę to cacko. Leslie zajmuje miejsce naprzeciwko, w głębokim fotelu do kompletu. Między nami znajduje się mahoniowy stolik, na którym postawiono doniczkę z orchideą o nieskazitelnie białych płatkach.

Dopiero teraz, kiedy nie rozprasza mnie już widok, dostrzegam, że w całym salonie dominują akcenty czerwieni i drewna. Jest tu wygodnie, choć trochę sztywno. W kącie tyka zegar szafkowy. W oknach wiszą aksamitne zasłony i drewniane żaluzje. Mosiężny teleskop na drewnianym trójnogu wycelowany jest nie w niebo, lecz w Central Park.

Ściany pokrywa tapeta w czerwone kwiaty, których liczne bujne płatki otwierają się niczym wachlarze i łączą z innymi w misterne wzory. Dobrze komponują się z nimi listwy gzymsowe pod sufitem i rozkwitające w narożnikach gipsowe zawijasy.

– Sprawa wygląda tak – wyjaśnia Leslie. – Jedna z zasad panujących w Bartholomew mówi, że żadne mieszkanie nie może pozostać puste dłużej niż miesiąc. To stara reguła, która może wydawać się dziwna. Ale wszyscy tutejsi lokatorzy zgadzają się, że dom zamieszkały to dom szczęśliwy. Weźmy okoliczne apartamentowce. Przez większość czasu są w połowie puste. Jasne, mieszkania mają właścicieli, ale rzadko ktoś w nich bywa. I to widać. Wejść do któregoś z tych budynków, a poczujesz się jak w muzeum. Albo jeszcze gorzej, jak w kościele. No i trzeba mieć na względzie bezpieczeństwo. Jeśli rozejdzie się wieść, że jakieś

mieszkanie w Bartholomew będzie stało puste przez kilka miesięcy, nie wiadomo, czy ktoś nie spróbuje się do niego włamać.

Więc stąd tak niepozorne ogłoszenie wśród wielu innych w dziale „potrzebna pomoc”. Zastanawiałam się, czemu było takie niejasne.

– Czyli szukacie strażnika?

– Szukamy lokatora – koryguje Leslie. – Kolejnej osoby, która tchnie życie w ten dom. Na przykład to mieszkanie: właścicielka niedawno zmarła. Była wdową. Nie miała dzieci. Tylko kilkoro chciwych siostrzenic i bratanków w Londynie, którzy obecnie skaczą sobie do gardeł, walcząc o prawo do tego lokalu. Dopóki ta kwestia nie zostanie rozwiązana, mieszkanie będzie stało puste. Pomyśl tylko, jak opustoszałe byłoby to piętro, skoro mieszczą się na nim tylko dwa apartamenty.

– Dlaczego ci krewni go nie podnajmą?

– Tutaj to niedozwolone. Z tych samych powodów, o których mówiłam wcześniej. Taki podnajemca mógłby zrobić z tym mieszkaniem Bóg wie co.

Kiwam głową z nagłym zrozumieniem.

– Płacąc komuś za pobyt, macie pewność, że nie zniszczy mieszkania.

– Właśnie. To jak polisa ubezpieczeniowa. Dodam, że całym opłacalna. W przypadku dwanaście A rodzina zmarłego właściciela oferuje cztery tysiące dolarów miesięcznie.

Ręce, które dotąd trzymałam sztywno na podołku, nagle bezwładnie opadają na boki.

Cztery kawałki na miesiąc.

Żeby tu mieszkać.

Płaca jest tak olbrzymia, że mam wrażenie, jakby ta karmazynowa kanapa zapadła się pode mną, pozostawiając mnie pół metra nad podłogą.

Próbuję zebrać myśli, żeby to sobie przeliczyć. Wychodzi dwanaście tysięcy dolarów za trzy miesiące. Więcej niż potrzebuję, żeby przetrwać, dopóki nie poukładam sobie życia na nowo.

– Przypuszczam, że jesteś zainteresowana – mówi Leslie.

„Czasem życie podsuwa ci guzik resetu. A wtedy musisz wcisnąć go z całej siły”.

Tak powiedziała mi kiedyś Jane. W czasach czytania na jej łóżku, kiedy byłam za mała, żeby zrozumieć, co miała na myśli.

Teraz rozumiem.

– Jestem bardzo zainteresowana – odpowiadam.

Leslie uśmiecha się, błyskając białymi zębami zza brzo-skwiniowych warg.

– Czyli możemy przejść dalej?

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova